

Słońce dogrzewało coraz mocniej, mgła ustępowała w górę, a horyzont przecierał się powoli.

Rozprostowałem obolałe kości i zabrałem się do jedzenia.

— Są jakieś wiadomości, panie szefie! — spytałem Wrusia.

— Na razie nic. W wozie radiowym próbują uchwycić poranny komunikat.

Pogawędziłem trochę z Wrusiem i po śniadaniu, by zasięgnąć języka, poszedłem do punktu dowodzenia, gdzie zastałem już zgrupowany cały dywizjon. Zaledwie przywitałem się z kolegami, gdy z samochodu radiowego wyskoczył kapitan Laskowski, podniecony, z wypiekami na twarzy.

Umilkliśmy spoglądając pytająco na dowódcę.

— Czy wszyscy piloci są na miejscu? — zwrócił się do dowódców eskadr.

— Tak!

— Proszę panów, chwila uwagi — mówił teraz powoli i dobitnie. — Dziś od godziny piątej rano jesteśmy w stanie wojny z Niemcami. Proszę zachować całkowity spokój. A co do obowiązku... wierzę głęboko, że go spełnimy.

Przyjeliśmy tę wiadomość w milczeniu.

— Dowódców eskadr poproszę ze mną — przerwał ciszę kapitan Laskowski.

Porucznik Przyjemski, oficer radiowy, podał nam w krótkich słowach treść komunikatu.

Warszawa i niemal wszystkie nasze stałe lotniska oraz ważne węzły kolejowe były już bombardowane. Od świtu wzdłuż całej granicy rozpoczęły się walki. Niemcy na wszystkich odcinkach szli naprzód.

Rozmowa nie kleiła się. Każdego pochłaniały własne myśli, a skąpe wiadomości nie dawały jeszcze dostatecznych materiałów do dyskusji. Tak czy inaczej byliśmy wszyscy podnieceni.

Świadczyło o tym choćby wyraźnie nerwowe zaciąganie się dymem papierosów. Piloci bez słów grupkami odchodzili do swoich maszyn. Zamaskowane „Jedenastki” wyglądały jak charty przyczajone w oczekiwaniu na sygnał myśliwego. Mechanicy leżeli pod skrzydłami maszyn gotowi na każdy rozkaz.

— Na razie, Stasiu, trzeba trochę potrenować do butelek — odezwał się do mnie Karol Pniak.

Byliśmy już przy kluczu alarmowym, w skład którego wchodził poza nami dwoma jeszcze kapral Wieprzkowicz.

— Zgoda. Ale gdzie rozstawimy swój „warsztat”?

— Byle gdzie, żeby tylko kogoś nie postrzelić.

— Postaw tę butelkę na pniaku.

— Gdzie? Na sobie mam postawić? — roześmiał się Karol biorąc me słowa za aluzję do jego nazwiska.

— Ach przepraszam! W takim razie postaw ją na tym świętym drzewie.

— To dopiero zmienia postać rzeczy.

Na wszelki wypadek włożyliśmy na siebie spadochrony. Plecowe „worki” wcale nam nie przeszkadzały w zabawie i Karol jako pierwszy rozpoczął kanonadę. Butelki pękały, zakłady szły w górę. Mgła znikła już i niebo pokryłyienne chmurki. Wokoło panowała cisza przerywana tylko suchym trzaskiem pistoletowych wystrzałów. Odgłosy toczącej się wojny nie dochodziły tu jeszcze, była ona dla nas jakby trochę nierealna, czaiła się gdzieś daleko. Naprowadzałem właśnie muszkę pistoletu na pękatą flachę, gdy padł okrzyk mechanika: „Start!”

Momentalnie odwróciłem się i ujrzałem zieloną raketę na tle wypiętrzonych, śnieżnobiałych cumulusów. Rzuciłem pistolet na ziemię i jednym susem znalazłem się w maszynie. Zapiąłem w okamgnieniu pasy, silnik warknął i „Jedenastka” potoczyła się w otwartą przestrzeń po świeżej, zmytej rosą koniczynie.

Nabierając wysokości biorę podany przez radiostację kierunek na samolot nieprzyjacielski. Idę tuż nad strzępami kłębiastych chmur na wysokości tysiąca pięciuset metrów pod kursem północnowschodnim.

Rozglądam się wokoło szukając wroga, mego pierwszego wroga! Z tyłu za mną ciągną jedna za drugą „Jedenastki”. Ponieważ niebo jest dookoła czyste, przenoszę swe poszukiwania w dół, penetrując uważnie przestrzeń w lukach między cumulusami. Przed dojściem do Wisły, gdzie zachmurzenie całkowicie niemal znikło, dostrzegam w pewnej chwili przed sobą na małej

wysokości wyraźnie obcą sylwetkę samolotu. Włączam radio i rzucam w eter krótką depezę:

„Uwaga, Henschel 126, kierunek — port drzewny, wysokość — 50 — 100 metrów”. Jednocześnie zwałam maszynę do nurkowania.

Idę do ataku!

Rozpoznawcza maszyna niemiecka spokojnie leci po niezmiennym kursie. Załoga, zajęta widocznie rozpoznaniem, pewna siebie, nie obserwuje chyba nieba. Dystans między nami gwałtownie maleje...

Jeszcze nie jestem spostrzeżony. Spokój przeciwnika podnieca mnie, czuję drzenie rozchodzące się po całym ciele. Za chwilę otworzę ogień. Jeszcze kilka sekund. Czarne krzyże stają się coraz wyraźniejsze, rosną, rażą wzrok. Celownik pieści je zmniejszając powoli poprawkę...

Nagle Henschel spluwa ku mnie chaotycznym ogniem obserwatora. Pilot poczyna uciekać do ziemi. Smugi pocisków obejmują niczym ośmiornica cały samolot. Ściskam mocniej drążek i nie spuszczać z oka celownika zbliżam się nadal do nieprzyjaciela.

„...250 metrów... 200... 150... jeszcze bliżej — świdruje w mózgu myśl. — ...Już, teraz!”

Naciskam spust. Stare Vickersy grają bezbłędnie. Jestem idealnie w ogonie. Poprawka zbędna.

Długa seria przerywa ogień strzelca, śmigło gwałtownie zmniejsza obroty. Ułamek sekundy — i ostatnia, krótka seria z bezpośredniej odległości, po czym ostro wrywam maszynę w górę, by uniknąć zderzenia i... ognia porucznika Pisarka i kaprała Mielczyńskiego, którzy doszli Niemca. W półokrążeniu widzę, jak pilot stara się osadzić maszynę na przygodnym terenie. Nie wygląda jednak na to, że samolot prowadzi wprawna ręka, pilot musi być ranny. Henschel toczy się i podskakuje jak pijany, aż wreszcie, zarywszy się w miękką, świeżo zoraną ziemię, przechodzi na plecy. Błyska jasnoblękitnym brzuchem, na tle skrzydeł ostrym kontrastem odbijają czarne, żałobne krzyże...

„Jedenastki” wykonały „taniec śmierci” krążąc przez chwilę nad ofiarą. Będąc jeszcze pod wpływem stoczony walki bez namysłu zatoczyłem krąg i podszedłem do lądowania. Nie zastanawiałem się zupełnie, czyni grozi lądowanie w tak ciężkim terenie. Ale szczęście chodzi parami. Po chwili „Jedenastka”, dygocąc na nierównościach, zakończyła wybieg w niedalekim

sąsiedztwie rozbitego Henschla. Dokoła panowała pustka, wszystkie maszyny już odleciały. Słysząc było jedynie silnik mojej „Jedenastki” pracujący na małych obrotach. Szybko wyskoczyłem z maszyny i pobiegłem w kierunku wraku. Nagła myśl zahamowała jednak mój rozpęd i z taką samą szybkością zawróciłem, by wyłączyć silnik. Perspektywa ucieczki pilota niemieckiego na mojej maszynie wyglądała w tych warunkach niemal na fantazję, ale wolałem wykluczyć taką możliwość. Dla nie zaznajomionego z armaturą mego samolotu pilota nieprzyjacielskiego zapuszczenie silnika stanowiłoby poważną przeszkodę w sprawieniu mi brzydkiego kawału. Rączkę od rozrusznika schowałem pod fotel i dopiero wtedy ruszyłem z powrotem do Henschla.

Spodziewałem się znaleźć załogę wewnątrz samolotu: rannych lub zabitych. Jednak siedzenia były puste, a obie kabiny pełne krwi. Natychmiast rozpocząłem poszukiwania Niemców. Na przedłużeniu kierunku przymusowego lądowania, w odległości jakichś 15 metrów po przeciwnej stronie wąziutkiego strumyka zobaczyłem białą płachtę rozwiniętego spadochronu, a obok — leżącą postać. Przeskoczyłem strumyk i znalazłem się wobec pierwszej widzianej przeze mnie ofiary wojny. Niemiec leżał na wznak, cały we krwi, nieprzytomny. Jego otwarte usta, pokryte pianą, zakrwawione, charczały. Widocznie przy uderzeniu o ziemię lotnik został wyrzucony z samolotu, a zaczepiony o coś spadochron rozwinął się sam.

Nie było jednak nigdzie widać drugiego członka załogi.

Kilku ludzi, zwabionych widokiem walki i kapotażem Niemca, biegło z różnych stron, na przełaj przez pola na miejsce wypadku. Chwilę jeszcze rozglądałem się uważnie, przetrząsając wzrokiem okoliczne krzewy i zagajnik, ale nic nie świadczyło o obecności poszukiwanego. Postanowiłem więc tymczasem w miarę moich zdolności przyjść z pomocą ciężko rannemu. Zaledwie zdążyłem zwinąć spadochron i ułożyć go w taki sposób, by stanowił poślanie dla Niemca, gdy dobiegli do nas pierwsi ciekawi. Zwróciłem się do nich, aby przeszukali skraj leżącego nie opodal lasu, gdzie prawdopodobnie szukał schronienia drugi Niemiec. Wszyscy mężczyźni rozbiegli się we wskazanym przeze mnie kierunku. Pozostała przy mnie jakaś kobieta, która pomogła mi przenieść

rannego na prowizoryczne łoże. Następnie skierowałem się do rozbitego Henschla, w którym uprzednio zauważyłem apteczkę. Wybiłem ręką sztuczne szkło i wygarnąłem całą jej zawartość w postaci różnego rodzaju opatrunków, nożyczek, strzykawek i rozmaitych medykamentów, o których przeznaczeniu nie miałem nawet zielonego pojęcia. Nożyczkami rozciąłem rękawy munduru i koszuli ostrożnie ściągając z rannego całe okrycie. Ciężka rana przestrzelonego na wylot barku spływała obficie krwią. Korzystając z pomocy uczynnej kobiety przemyłem twarz lotnika czystą wodą ze strumyka, ranę zalałem jodyną, po czym przykładając tampony obandażowałem możliwie najmocniej, by zatamować krwotok.

Właśnie zabieraliśmy się do przeniesienia rannego, gdy podniósłszy głowę rzuciłem przelotnie wzrokiem w stronę pobliskich krzewów. Odniosłem wrażenie, że coś się w nich poruszyło.

Ułożyłem rannego z powrotem na ziemi i poderwałem się na nogi pilnie wypatrując. Tym razem nie miałem już wątpliwości: odróżniłem wyraźnie sylwetkę człowieka w kombinezonie, który tylko nieznacznie odbijał swą barwą od otaczającej go zieleni.

Skoczyłem kilka kroków naprzód i wykrzyknąłem jedyne znane mi niemieckie słowo: „halt”!, po czym już po polsku dodałem „ręce do góry”. Sięgnąłem jednocześnie do kieszeni po pistolet, lecz zamiast pistoletu ręka natrafiła na srebrną papierośnicę. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że w chwili alarmu rzuciłem pistolet na ziemię.

Trzeba się było decydować. Szybkim ruchem wyciągnąłem papierośnicę i imitując nią uzbrojenie, skierowałem wprost na Niemca. Niemiec się poruszył, podniósł z trudem ręce do góry i ciągnąc za sobą jedną nogę wyszedł wolno z krzaków. Opuściłem wtedy rękę, by nie dojrzał z bliska, iż moją szturmową bronią jest przedmiot absolutnie do walki nie przydatny. Widząc, że lotnik nie może iść, podbiegłem do niego. Odebrałem mu „Mausera”, poczęstowałem papierosem z domniemanego pistoletu. Uśmiechnął się przez ból, kiwnął głową i biorąc papierosa wyjąkał: „danke schön”. Obawy moje teraz dopiero wydały mi się śmieszne: ranny Niemiec był niezdolny do jakiegokolwiek wrogiego odruchu lub ucieczki. Przerzuciwszy jego rękę na swój kark poprowadziłem go do towarzysza niedoli. Ułożyłem go obok na miękkiej powłoce spadochronu.

Dałem mu paczkę „Egipskich” i zapalki, po czym powróciłem do czynności samarytańskich.

W chwili gdy lewą ręką uniosłem lekko do góry rannego, podpierając się jednocześnie prawą o ziemię, by umożliwić kobiecie przeciągnięcie bandaża, Niemiec, który przez cały czas obserwował pilnie nasze czynności, nachylił się i zupełnie nieoczekiwanie pocałował mnie w rękę. Cofnąłem ją jak oparzony. Na krótki moment wzrok nasz się skrzyżował. Moje oczy nie wyrażały chyba nic prócz zdziwienia, w jego dojrzałem wyraźną wdzięczność. Na uśmiech odwzajemniłem się również uśmiechem. Wiedziałem, że mój ludzki obowiązek nakazywał mi spełnić to, co czyniłem teraz, do końca. Winien tragedii był przecież ktoś inny — ten, kto rzucił nas przeciwko sobie.

— Ja już skończę sam, a pani niech tymczasem zabierze się do tego drugiego — powiedziałem do pomagającej mi kobiety. Chwyliła nożyce i nachyliła się nad drugim pacjentem. Ale ten począł mówić coś szybko w niezrozumiałym dla nas języku. Z gestów raczej wywnioskowałem, że chodzi o protest.

— Co się stało? — zapytałem po polsku, patrząc w jego stronę.

— Nie wiem — odrzekła zdziwiona. — Nie chce się dać dotknąć.

— Nein, nein, Flieger! — wołał Niemiec, wskazując na mnie ręką.

Uśmiechnąłem się domyślnie. Kobieta wzruszyła ramionami i pomogła mi w ułożeniu i przykryciu nieprzytomnego Niemca numer jeden.